



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Bóg wie, czem się to działo, żeśmy wszystkie niemal pogawędki nasze dotychczas zaczynali zazwyczaj od wzmianek o... pogodzie, lub o czemś z naturą związek blizki mającym; może to z tej przyczyny, iż ten, najstarszy i najbardziej nadużywany, temat zawsze jeszcze podaje motyw do uczonych waryacji i najłatwiej podsuwa się pod pióro kronikarza, *qui doit commencer par le commencement*.

Prawda i to, że ten sposób rozpoczynania gawędy przestał już być dawno oryginalnym, a nawet ośmieszonym jest przez naiwnych „rozmowników”, którym inaczej nie mógł się rozwinąć język, jeżeli nie zaczynali od sakramentalnych słów: „Piękna mamy pogodę!”

Kronikarzowi *Bluszczu* przypadła dzisiaj tasama rola — naiwnego gawędziarza, z tą różnicą, że obawia się pochwalić rozjaśnione niebo i uśmiechnięte zwodniczo słońce, aby nie wywołać znowu owego groźnego marsa, jakim zbyt wczesna jesień rozpoczęła swoje tegoroczne panowanie.

Mieliśmy bowiem śnieg we Wrześniu, wprawdzie tylko na pokaz, ale z nim i śnieżna temperatura nastąpiła, zmroziwszy wątłe nadzieje „babiego lata”, które w naszej strefie miało zazwyczaj coś z dojrzałego już, ale ponętnego jeszcze, panienstwa w sobie... W istocie, te dnie ku schyłkowi jesieni, złożone coraz smutniejszymi spojrzeniami słońca, podobne były do cichego żywota owych, ładnych jeszcze, ale już przekwitłych panien, co się pożegnały z nadzieją małżeństwa, nabrały jakiejś statecznej powagi i ze zwarzonej zawodem przeszłości zachowały jeszcze wdzięki minionej wiosny, tylko pewnym chłodem owiane.

Nawet przyroda cała podobną się stawała do tych imionników i sztambuchów z zeszlęmi listka-

mi i kwiatami zwiędłymi dawno, które w panieńskich kantorkach przechowywać zwykły zwietrzałe wspomnienia i tajemnice minionych Majów życia.

W tym roku nie zanosi się jakoś na to smutne, lecz dziwnie sympatyczne, „babie lato” nasze, na tę w łagodnych *pianissimach* rozplywającą się symfonią życia w przyrodzie.

Wiesniacy nader niechętnie przyjęli zjawienie się tej zgryźliwej sekutnicy, zapowiadającej przyjęście wczesnej zimy, bo wielu nie uprzątnęło jeszcze zbiorów ostatnich, nie pokończyło robót w polu i zasiewów na rok przyszły.

W Warszawie najgorzej na zawczesnych chłódach wyszli dyrektorowie teatrzyków ogródkowych, bo musieli budżety zamknąć z deficytem i puścić się na zimową wędrówkę po prowincyi z pustkami w kieszeni. Do zupełnego „apostostwa sztuki” przybyły niektórym kapłanom Melpomeny — dziurawe koturny.

Przedsiębiorstwo scen ogródkowych w ogóle w ostatnich czasach przestało u nas być Kalifornią złotodajną, z czego wnioskować-by należało, że albo publiczność nasza ostygła trochę z owego zapалу do „sztuki skrapianej bawarem”, albo panowie dyrektorowie zaniedbali się w wynajdywaniu najwłaściwszych środków popularności i ponęty dla tłumów, które przed kilkoma laty jeszcze tłoczyły się do kasy teatralnej w Belle-vue, Alhambry i Eldorado.

Na owe coraz mniejsze dochody ogródkowiczów, a wyjątkowo na deficyty tegoroczne, składało się wiele innych powodów przypadkowej natury; nie należy ich tylko szukać w samym usposobieniu publiczności warszawskiej, która nadto może poświęca uwagi sprawom teatralnym i na zasłużony zarzut teatromanii się naraża. Mania ta nie byłaby tak naganną i szkodliwą, zwłaszcza u nas, gdyby nie stawała się jakąś wyłącznością uprzywilejowaną w prassie, w zajęciach i upodobaniach ogółu, w tematach rozmów prywatnych i w dyskusjach publicznych.

Teatr, teatr, i tylko teatr, nie może wypełnić życia i celów społeczeństwa żadnego; sztuka dramatyczna nie powinna górować nad innemi i pochłaniać wszystkich innych dodatknych instynktów ogółu. Zajęcie się sztuką winno mieć swoje poważne pobudki, nie jakieś małostkowe, a często chorobliwe, motywa; nie zyskuje na tem ani ogół, ani sztuka, ale raczej ogół i sztuka szkodę ponosić muszą.

Niezapreczenie scena polska, jako jedno z żywych ognisk języka naszego, musi mieć dla nas bardzo poważne i bardzo sympatyczne znaczenie: lecz niechajże zajęcie się tą sceną będzie rozsądne i poważne; niechaj nie będzie słabością tylko i stanem podrażnienia nerwowego, jakim, niestety, bywa najczęściej. Szanujmy teatr, jako świątynię sztuki i języka, i żądajmy od niego, aby był taką świątynią w całym tego słowa znaczeniu, ale pięknego kultu nie zamieniamy w... bezmyślną i niebezpieczną bigoteryą, bo zamiast prawdziwych bogów w tej świątyni, będziemy w końcu gotowi uwielbiać zwyczajnych bałwanów, owianych dymem kadzideł i obsypanych bobkowym liściem, zamiast szlachetnych laurów.

Chorobliwa ta mania nietyle zwracałaby uwagi poważniejszych obserwatorów życia społecznego, gdyby nie stała w rażącej sprzeczności niekiedy z traktowaniem wielu prawdziwie żywotnych kwestyj u nas, dla których brak nam zmysłu cierpliwości, uwagi i zrozumienia. Fałszywy entuzjazm doprowadza do tego, że znajdują się tak lekkomyślni i naiwni zapaleńcy, którzy clownowi cyrkowemu ofiarowują wieniec, podczas gdy wiele prawdziwych zasług i talentów, bez słowa uznania, bez nagrody, stać musi na uboczu i pytać siebie w duchu: czy nie lepiej było w życiu przewracać koziołki, aniżeli czas trawić nad książką i poważną pracą umysłową?

Prawda, iż, jeżeli złe się zakradło i wybujało, to winny temu okoliczności przeróżne; lecz człowiek dojrzały, społeczeństwo dojrzałe w tem swo-



ją wyższość i moc objawić powinno, żeby zapanować umiało nad okolicznościami, żeby nie uległo przeciwnościom, i starało się przynajmniej nie uleść im tak łatwo.

Wszelkiego oszołomienia, zaślepienia, zawrotu głowy i nerwów, strzedz się nam należy, bo mamy przed sobą jeszcze długą drogę stromą, po której iść naprzód z otwartymi oczyma na wyraźne, wysokie cele — trzeba, ale nie zagapiać się w drodze, nie odrywać uwagi dla fraszek, nie zwalniać kroku, ani marnować czasu na wygodnych popasach.

Chodzi nam przede wszystkim o moralne zdrowie całego społecznego organizmu, o prawidłowy rozwój wszystkich organów, o unikanie niebezpiecznej hipertrofii i coraz większe wzmacnianie wszystkich sił i władz naszego ogółu, — dlatego tak przestrzegamy przed wybujałą jednostronnością w jakimkolwiek kierunku. Według dobrej zasady higienicznej powinno się dbać o współmierny wzrost i odżywianie jednocześnie wszystkich organów ciała naszego; takie zresztą jest prawo natury i z niego należy brać modłę dla rozwijania organizmu społecznego.

Dotychczas mówiliśmy głównie o dbałości nad rozwojem moralnego naszego ustroju; ale i o fizycznym zapominać nie wolno. Ciało, jako naczynie ducha, jako forma — musi posiadać odpowiednie swojemu zadaniu warunki i własności, bez których krzywdą tylko stać się może ogólnemu rozwojowi. Zdrowie duszy powinno iść w parze ze zdrowiem ciała, według starej, a mądrej zasady: *Mens sana in corpore sano*.

Zwracaliśmy już niejednokrotnie na to uwagę, jak niedostateczną opiekę poświęcamy ważnej sprawie fizycznego wychowania u nas; hodujemy wątłe, słabe, egzotyczne roślinki, niezahartowane, niedościgłe, bezkrwiste. Większość dzieci naszych podobna do owych purchawek, które pierwszy lepszy silniejszy podmuch rozsypuje z łodyżki chwiejnej. Owe „nadzieje ojczyzny“, „podpory starości“ i „pociechy“ nasze, noszą tylko tradycyjne swe tytuły, ale w dosłownym znaczeniu najczęściej nie zasługują na nie. Pokolenie za pokoleniem rodzi się coraz słabsze, a wadliwy systemat wychowania jeszcze je bardziej osłabia i zwyrodnia. Zdrowy, pyzaty, rumiany dzieciak, w którym tętnią zarodki siły i dzielności przyszłej — jest dzisiaj niemal osobliwością, zabłąkaną przypadkiem wśród bladych, delikatnych laleczek z pianki cukrowej lub porcelany.

Mówi się o tem, przestrzega, napomina, radzi; ale słowa wiatr bierze, jak plewę i rozwiewa po pustych polach: a to grzech, to krzywda wyrządzona, i sobie, i przyszłemu pokoleniu, które z wyrzutem słusznym i bolesnym będzie miało prawo zwrócić się do ojców i powiedzieć: „Czemuście nam siły do życia i hartu nie dali, czemuście nas skazali samowolnie i samowiednie na vegetację; czemuście nas źle wychowali?“

Odezwał się znowu w tym przedmiocie głos poważny i uczciwy z dobrą radą, nawet więcej niż z radą, bo z formalną odezwą i inicjatywą gotową, głos filantropa i człowieka nauki, D-ra Markiewicza, znanego higienisty i medyka naszego.

W dwóch obszernych artykułach, pomieszczonych w *Gazecie Warszawskiej*, nawołuje on ogół do zaopiekowania się ubogimi dziećmi naszego grodu podczas miesięcy wakacyjnych. Szkoły warszawskie nie są wcale cieplarniami, w których-by młodzież rozkwitała fizycznie; szanowny wnioskodawca w publicznym odczycie wykazywał sam kiedyś, jakie-to raczej rozsądni cheróbi i ułomności cielesnych mieszczą się w dzisiejszych murach szkolnych, i ile zrobić-by należało dla usunięcia złego. Teraz, na podstawie doświadczeń obcych, a zwłaszcza Niemców, proponuje D-r Markiewicz środek łatwy, zrównoważenia przynajmniej całorocznych niekorzystnych wpływów na zdrowie młodzieży szkolnej. Oto radzi on zakładanie kosztem publicznym letnich kolonij dla ubogich dzieci warszawskich na wzór podobnych, istniejących pod Wiedniem, Frankfurtem, Dreznem i t. d.

Podczas wakacyj kilka tygodni pobytu na świeżem powietrzu, wśród pól i lasów, na swobodzie, znakomicie musiałoby odżywić organizm dziecka. Wydatek nie byłby tak wielkim; według obliczenia szanownego wnioskodawcy koszt utrzymania przez miesiąc jednego chłopca, czy dziewczynki, wyniosłoby około 24 rs.: ale kosztem tym

dałoby się okupić zdrowie i siły przyszłego obywatela kraju, pożytek ze zdrowej i silnej jednostki społecznej.

Fundusz da się ściągnąć utartą i niezawodną w takich razach drogą. Dwa czy trzy odczyty, jeden koncert lub dochód z widowiska teatralnego dostarczy dla stu dzieciaków potrzebnej summy.

Robią tak inni, zagranicą, i udaje się: dlaczegożby nie miało się udać u nas?...

D-r Markiewicz, dla przyspieszenia sprawy, bierze inicjatywę przeprowadzenia swego wniosku na siebie, a dla osób chcących radą albo czynem przyjść w pomoc dobrej sprawie jest codziennie w domu pomiędzy 5-tą a 6-tą popołudniu (Miodowa Nr. 3).

Chyba na wizyty prawdziwych, choć jeszcze nie stowarzyszonych, „przyjaciół dzieci“ długo wyciekiwać nie będzie... Jak sądzicie szanowne matki i ojcowie szanowni? Nadarza się sposobność zrobienia tanim kosztem dobrego i pięknego uczynku, który obywatelskiemu sumieniu waszemu da więcej zadowolenia, niż włoska opera albo francuzka farsa w teatrze!... Korzystajcie.

W Ameryce ekstrawagancja *Yankees* wytworzyła wystawy zdrowych dzieci i ustanowiła nagrody za najlepszy podchówek rodzaju ludzkiego; u nas tego kierunku dążenia byłyby niewłaściwe i śmieszne. My zaczynamy zaledwie popisywać się okazami czworonożnego inwentarza, i to nie bardzo szczególnego, hodowlą roślin cieplarnianych, kwiatów i owoców, mających kiedyś rywalizować z drogim plonem zagranicznych sadów i ogrodów cudzoziemskich.

Ostatnia, druga z rzędu w Warszawie Wystawa ogrodniczo-sadownicza, urządzona w Salach Doliny Szwajcarskiej, powiedła się nadszpiewanie pomyslnie, chociaż nie bez „ale“.

Na oko przedstawiała się, i bogato, i okazańie, lecz w gruncie rzeczy nieszczególnie dawała wyobrażenie o szerszym rozwoju w kraju naszym ogrodnictwa i sadownictwa; działo się to może dlatego, że na ogół wystawców nader mały udział przyjęli nasi ziemianie, posiadacze większej własności, a zwłaszcza wieśniacy. Najlepiej była reprezentowaną Warszawa i ogrody podmiejskie, które dla podtrzymania honoru znanych firm popisać się musiały przed publicznością i sędziami. Jak na krajową wszelako wystawę, obraz był niekompletnym, luki zanadto wielkie; może przyszły rok będzie szczegółliwszym pod tym względem.

Dla kobiet naszych otwiera się nowe pole popisu, dla gospodyń wiejskich — piękna sposobność do odnowienia tradycji prababek, które z ogrodów i sadów zbierały dochody w brzęczącą złotem pończoszkę.

Wystawa w Dolinie Szwajcarskiej przyniosła przeszło 3000 rs. zysku — summa ta ma być obróconą na powiększenie środków materialnych szkoły ogrodniczej, istniejącej przy ogrodzie pomologicznym w Warszawie; największą wszelako korzyścią jej i upamiętnieniem może być projektowane Towarzystwo Ogrodnicze, którego ustawę na osobnej konferencji, odbytej w ostatnim dniu ekspozycji, rozbiłano w gronie specjalistów zajmujących się żywo i gorliwie tym wnioskiem. Celem takiego Towarzystwa miałoby być skupienie wszystkich naszych ogrodników dla wspólnej pracy około podniesienia produkcji ogrodniczej w różnych jej gałęziach i nadania ogrodnictwu krajowemu charakteru naukowego, doświadczalnego, jak się to dzieje w Czechach, Francji i Anglii. W projekcie zatem jest i urządzenie biblioteki ogrodniczej i utrzymywanie czasopism ogrodniczych i urządzenie corocznych wystaw, stacyj doświadczalnych etc. etc. Dla zachęcenia i wciągnięcia do Towarzystwa szerszego koła osób, niezajmujących się ogrodnictwem, projektuje się rozlosowywanie roślin i krzewów między członków, coś w rodzaju premij Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Możnaby i owoce dodać do kwiatów, a na nie zląkomiłby się jeszcze niejedyn Adam — naszych czasów.

Rolę Ewy w szlachetnem znaczeniu i z prawdziwym pożytkiem dla gospodarstwa krajowego przyjąłoby na siebie projektowane Towarzystwo, któremu dopięcia celu życzyć należy z głębi ser-

ca; a dobre życzenia, choć idealną tylko mają wartość, przynoszą szczęście najczęściej.

Dowodem n. p. kassy pożyczkowej dla rzemieślników. Ogólna życzliwość utorowała im drogę i, dzięki Bogu, powoli, powoli, ale bezustannie rozwijają się one coraz pomyslniej. Dotychczas z ubieganych funduszy dwie kassy cyrkulowe ratują już ubogą ludność rzemieślniczą od zasadzek i potrzasków lichwy. Biedni zgłaszają się z całem zaufaniem po pożyczki, ale, co najbardziej pocieszającym w tej sprawie, to rzetelność dłużników: dotychczas ani jedna rata nie zaległa. Świadczy to pochlebnie o moralnem poszanowaniu, jakie sobie młoda instytucja odrazu pozyskała w sferach interessowanych.

Z otwarciem trzeciej kassy nie idzie tak sporo; braknie jeszcze przeszło tysiąca rubli do zaokrąglenia kapitału, a składki jakoś — niestety, sączą się już tylko drobną strugą. Miał słusność ciekawodny nestor naszej literatury, mówiąc, że w pierwszym zapale gotowi jesteśmy za przykładem św. Marcina, nie połowę, ale cały płaszcz oddać odrazu; ale gdy przyjdzie nam po skrawku się składać, to zaledwie na kołnierzyk się złożymy.

W tym wypadku chyba ambicja i wstyd nie pozwolą nam ostygnąć w zapale dla dobrej sprawy, zwłaszcza, że przykład Warszawa zwrócił na siebie uwagę prowincyi: w Radomiu i jeszcze w drugim miejscu zabrano się do naśladowania projektu Prusa. Niechże tylko nie zapatrzą się na naszą zleniwiłą ofiarność, która lekkomyślnie gotowa urwać pasmo dobrego uczynku przed samem jego wysnuciem.

Bodajto wytrwałość Czechów!... Jak sobie na zgłiszczach narodowego teatru powiedzieli, że muszą mieć drugi takisam, powstały jak Fenix z popiołów, tak i dotrzymali słowa. Centami zapelniają publiczną skarbnicę, ale nie przestają składać wdowich groszy i postawią na swoim.

To aż się człowiekowi serce śmieje z radości, gdy patrzy na taką stanowczość i charakter społeczeństwa, które musi dopiąć każdego celu, bo ma potem wolę i wytrwałość.

Sporą zapewne sumkę dorzuci braciom nad Wełtawą proponowane u nas przez Adama Pługa wydawnictwo *Rękopism Królowo-worskiego i Zelenohorskiego*, z ilustracyami Andriollego, w czeskim oryginale i polskiem tłumaczeniu; opuszczone tylko będą „pieśni miłosne“, które Czesi mają już wydane z pięknymi rysunkami. Będzie to braterska przysługa, i piękna, i szlachetna, a niewątpliwie i ważna pod względem materialnym.

Dobra myśl w porę: to złote ziarno, któremu Bóg błogosławi.

## OSTATNI LIST

skreślił

A. Ch....

(Dalszy ciąg).

Wtrąciłem się do rozmowy:

— Może i pana...

Wyjdźcie więc panowie razem!

— Autor, autor! — brzmiały głosy. Oklasków jednak prawie zupełnie nie było słyhać. Wyszliśmy. Ach, Zenonie! Tej chwili nigdy w życiu nie zapomnę: tesame głosy, które nas wywoływały, gdyśmy się ukazali, syknęły, a do nich jeszcze się inne przyłączyło. Dotąd słyszę straszny ten, przenikający do głębi duszy, świst! Zachwiałem się, omal nie runąłem... Wywabiono nas na to, aby dać poznać, że sztuka nasza upadła, tak, jak się nigdy nie zdarza, lub bardzo rzadko. Ludzie bez litości! Prawda: dumni byliśmy, zarozumiali, lecz pracowaliśmy ciężko; dziecienni byliśmy, aleśmy nocy nie dosypiali, siłysmy nasze wszystkie na to jedno wyteżyli, widzieliśmy w tem chleb, sławę, szczęście, wszystko, czego tylko człowiek pożądać może: a publiczność tak okropnie nas zelżyła! Niech-by milczeniem swój sąd wypowie-



działa — wszystko-bym darował, przebaczył, bo moja własna była w tem wina; ale to sykanie zjadliwe!... — Zenonie, omal wtedy nie skończyłem scenie! — Zginęliśmy! — wyszeptalem, gdy się zasłona spuszczała. Roman nic nie słyszał; stał osłupiały, nierozumiejąc, co się koło niego dzieje. Sykanie ponowne zakończyło akt piąty, na którym niewiele osób pozostało. A ile wycierpiał matka i siostra, które wszystkich szyderskich sądów i dotkliwych docinków wysłuchać musiały?! Nie pamiętam, jak-em do domu powrócił... Pomnę tylko, że mię cucono, sładząc, żem zemdlał, tak bezwładnie leżałem na łóżku! Pamiętam też, niby przez sen, że całą noc nie spałem i płakałem, jak dziecko; przez kilka dni lekano się, abym nie dostał pomieszczenia zmysłów. Po paru tygodniach przyszedłem do siebie. O recenzje gazet nie pytałem się wcale. O ponownem wystawieniu opery nawet mowy być nie mogło.

Zjawił się Roman, smutny, rozdrażniony; ta natura skryta, zamknięta w sobie, dręczyła się bez oznak zewnętrznych: srożej też cierpiała...

— Przegraliśmy stawkę! — rzekłem smutno do niego, — ale nadziei, Romanie, nie dałem za wygraną: usilnie pracować będę — pracujemy razem! Znam ja teraz wady swoje, ty pewnie też swoje dostrzegłeś: nie traćmy odwagi!

— Odwagi!... — powtórzył ponuro Roman.

— Ja wierzę w siebie, — ciągnąłem dalej, — wierzę w swą gwiazdę! Dla ciebie pierwszy-to zawód, dla mnie już drugi: a spójrz! Mimo to nie rozpaczam... Mamy teraz jeszcze większe prawo do szczęścia, bośmy goryczy życia skosztowali!... Bolesć jest szkołą, jest drogą do chwały!... Wszak „A gloria non si va per via fioritta!“<sup>1)</sup>

— Winszuję, że w siebie jeszcze wierzysz! — rzekł Roman.

Zmilkiałem. Nad wyraz boleśnie dotknęły moją dumę te cierpkie słowa przyjaciela.

— Co do mnie, — mówił dalej Roman, — straciłem odwagę, bo, widziałem, sądziłem, żem geniusz; a teraz pojmuję, żem się okropnie pomylił. I geniusz mylić się może, ale w najślabszym utworze jego, choć gdziekolwiek, widać, że autor nie zwyczajny gryziopiórek... a tego w „Janie III“ niema. Pojmuję teraz ten świst piekielny!

— A widzisz! — podjąłem, — jeżeli pojmujesz, to zaradzić złemu możesz. Tylko takim sposobem dojść można do doskonałości!

— Do doskonałości? Łatwo to wyrzec, ale ja czuję, że tego ognia, nawet takiego, jaki mi palił w piersiach, gdy m pisałem „Sobieskiego“ — że go już niema!

— Cóż robić? — odrzekłem, — los winien...

— Nie los!! — krzyknął gwałtownie Roman. Rysy jego groźnemi się stały. Nigdy go w takim stanie nie widziałem.

— Nie los! — powtórzył. — My winni, lecz wiesz, kto winien najwięcej? — Ty!...

Skoczyłem. Jam też gorączka. Krew mi do głowy uderzyła...

— Ja?! — zawołałem, trzęsąc się ze złości.

— Ty! tak, ty! — powtórzył Roman. — Ty, zazdrośny, że ów dziennikarz zalecał się do panny Ireny, głupstw mu nagadałeś! On się zemścił strasznie, on artykuł napisał, on namówił, by nas wywizdano! Tyś winien najwięcej!!

Stałem jak osłupiały. Roman mówił dalej; piękna twarz jego przybrała wyraz szatańskiej ironii.

— A wszystko to dlatego, — i zaśmiał się szydłczo, — wszystko dlatego, że panna I-re-na, — naumyślnie mówił to dobitnie, — ma dwóch kochanków: jego i ciebie!

— Kłamiesz! — krzyknąłem, rzucając się ku niemu. — Podł!...

— Nigdy nie kłamie! — odparł wyniosłe. — A za obelgę obelgą płacę, — i koniec jego rękawiczki musnął mi twarz...

Rzuciłem się naprzód, lecz noga moja zawadziła o stół, który się przewrócił. Skorzystał z tego Roman.

— Jeżeli chcesz, pojedynek jutro o szóstej, na pistolety, tam, gdzieśmy się poraz pierwszy spotkali...

I wyszedł. Milczeniem zgodziłem się. A ponieważ było już pod wieczór, siadłem pisać list „ostatni“ — tak go zatytułowałem! Nie wiedziałem wtenczas, że jeszcze mi ten pisać wypadnie. Przemaszłem w tym liście matkę, siostrę i Eugenią, załączyłem wspomnienie dla Ireny. Tchórzem nie byłem, ale rozstanie się z życiem nie było dla mnie rozkoszą. Młodość miała prawo do życia, miała i obowiązek: na to przecież żyłem, aby spełnić przeznaczenie swoje — wypiewać pieśń obiecaną!

Wieczorem poszedłem do Ireny. Wesoła, jak zawsze, pocieszała mnie po niepowodzeniu. Byłem chmurny, bo się gotowałem na śmierć. Przy wejściu spotkałem owego dziennikarza; ironicznie mi się uklonił. Ja wcale mu na ukłon nie odpowiedziałem.

— Nie smuć się pan, — rzekła wesoło Irena, z piekielnym wyrazem swych oczu magnetycznych.

— Ja pana rozweselę! Pan mi sprzyja, więc zapewne cieszy go wszelkie powodzenie moje: wychodzę zamąż!

Zerwałem się.

— Przyrzekłam panu R\*\*\* — wymieniła nazwisko dziennikarza. Więc to była prawda, co mi powiedział Roman! Irena poznawszy, iż nie mam majątku, wybrała p. R\*\*\*.

— Dowidzenia, — rzekłem wstając, — nie chcę zatrzymywać smutną swoją obecnością chwil szczęśliwych. Dowidzenia! — powtórzyłem, tłumiąc wzruszenie...

— Życzę pani szczęścia, na jakie pani... — wyszedłem. Nie mogłem dokończyć utartego zdania: „Na jakie pani zasłużyłaś“, a nie chciałem obrazić słusznem, choć nieutartem: „Na jakie pani nie zasłużyłaś!“ — Szedłem do domu przygnębiony zupełnie... Mój szal ku Irenie zniknął — szal tylko tak odrazu zniknąć może; miłość prawdziwa nie marnieje tak prędko... Ale zato ustawał powód pojedynku? Nie znasz mię, Zenonie, jeżeli tak pomyślał! Gdyby jeszcze rękawiczka Romana nie paliła mi policzka hańbą niezemszczoną, być może pogodziłbym się, wolny od obawy, że będą mnie mogli wziąć za tchórze... ale policzek!... Gdy powróciłem do domu, dowiedziałem się, że Roman długo z siostrą moją rozmawiał. Przy pożegnaniu Marynia go zapytała:

— Ale dlaczegoś pan ciągle taki smutny, panie poeto?

— Och, ci poeci! — odparł Roman ponuro — Męczennicy za życia: goręcej niż inni dążą ku szczęściu idealnemu, bo się zwykłem nie zadawalać, a w końcu zebrzą już tylko dobrego wspomnienia... Ja w przeczcucia nie wierzę, ale... w razie, gdyby cokolwiek ze mną się stało, proszę — ...prędko o mnie zapomnieć... Żegnam panią!... Rzucił jej wejrzenie łzawe, i nieczekając na odpowiedź, wyszedł śpiesznie. Gdy mi to siostra opowiedziała, zrobiłem obojętną napozór uwagę:

— Młoda wyobraźnia igra... — Następnie pożegnałem się czulej niż zwykle z matką i siostrą, i poszedłem spać; lecz sen mi powiek nie kleił... otworzyłem okno.

Jesień już panowała na niebie i na ziemi; noc jednak była ciepła, cicha. Księżyc świecił jasno, a gwiazd tysiące błyszczały łagodnie na niebios sklepieniu. Siadłem na oknie i zacząłem rozpamiętywać życie całe. Blizki już byłem kresu, ale mi jakieś przeczcucie wewnętrzne mówiło, że ocaleję... Nadzieja, co serc ludzkich nie opuszcza nigdy, i mnie też nie porzuciła. Żalu wielkiego nie czułem do Romana; duma tylko nie pozwalała mi podać ręki do zgody...

Jak w panoramie zaczęły przesuwać się wspomnienia mego życia. Zdawało mi się, że widzę postać szanownego ojca, że słyszę jego słowa, gdy umierał: „Pracuj, a wsławisz się!“ — że spoglądam na szczęśliwe dzieciństwo swoje, które napępniało niezwykle uczucie dumy. Wtenczas, gdy rówieśnicy moi jeszcze zabawkami się bawili, jam już o sławie myślał, już marzenia o tryumfach spać mi nie dawały. Dalej zjawiały się inne obrazy: niepowodzenia, koncert nieszczęsny, miłość ku Eugenii, szal ku Irenie, przyjaźń z Romanem, praca nad operą, jej upadek i położenie obecne, kłótnia z Romanem: — wszystko to ukazywało się

kolejno, serce moje goryczą napęlniając. Nic niema straszniejszego w nieszczęściu, nad myśl, że inaczej stać się mogło, a nie stało — z własnej winy. Jam wiele wtenczas przecierpiał! Ciemno było jeszcze, gdy po nocy bezsennej, jak złodziej się skradając, dążyłem ku Wiśle, za miasto. Jak doszedłem do miejsca spotkania, teraz nie potrafiłbym tego powiedzieć; roje myśli, które noc całą spokoju mi nie dały, znowu całkowicie umysł mój zaprzętnęły. Nie o sobie jednak myślałem w tej chwili, lecz o siostrze. Czyż będzie mogła wyjść za Romana, jeżeli on mnie zabije? a jaką jej przyszłość zgotuje, jeśli jej ukochanego zgładzą ze świata? Zapewne! moglibyśmy być ranni tylko... a jeżeli który z nas ginie? Stanałem u celu. Romana już zastałem; spostrzegł mnie odrazu, pomimo mgły. Skłonił zlekka głowę na znak powitania, i rzekł, nie patrząc na mnie:

— Doktor nasz niespodziewanie wyjechał, będziemy się strzelali — bez świadków.

— Tajemnica winna być zachowaną — zauważyłem.

— Bezwątpienia! — rzekł Roman — i dlatego proponuję plan taki: — Pojedziemy łódką przeciw wodzi, daleko, za miasto, a gdy znajdziemy się w głuchej okolicy, staniemy na dwóch końcach łodzi i będziemy się strzelali. Kto wpadnie do wody, ten zginął, a na drugiego podejrzenie nie padnie; ja przynajmniej mam jeszcze przygotowaną karteczkę w kieszeni, na przypadek, gdyby ciało znaleźli, żem sam siebie życia pozbawił.

— Zgoda! — odrzekłem.

— Łódkę mam — dodał Roman. — Siedliśmy. On robił wiosłami, ja sterowałem: potem zmieniliśmy się, głębokie ciągle zachowując milczenie. Kilka razy chciałem w ciągu tej męczarni rzucić się Romanowi na szyję, zaniechać pojedynku, przebaczyć mu, lecz duma przekłeta mnie wstrzymywała. Nareszcie postanowiłem, pomimo wszystkiego, podać dłoń pojednania. Już miałem przemówić — ale fatalność chciała, że nagle Roman zawołał:

— Sądzę, że już można — tutaj.

Tem odezwaniami się zniweczyły wszystkie moje najlepsze zamiary; zląkłem się, że mnie o tchórzostwo posądzi. Łódka płynęła z biegiem wody. Staliśmy: Roman przy sterze, ja naprzeciw niego. W tej stanowczej chwili dziwne myśli przysły mi do głowy: wspominałem słowa Eugenii o sterze, przyrównanym przezemnie do kotwicy:

— „Trudno w nim dojrzeć symbol nadziei!“ — i mimowoli porównanie mi się nasunęło, że przeciwnik mój stoi przy sterze, który nie może być dlań symbolem nadziei. Pistolety, które przyniosł, były już nabite.

— Jeżeli mnie zabijesz, przebaczam ci! — rzekł uroczyście Roman.

— I ja ci także przebaczam! — powtórzyłem nieomal machinalnie. Bóg widzi, że raz jeszcze zapragnąłem uniknąć krwi rozlewu. Romanie! — rzekłem — lecz zapewne głos mój wskutek wzruszenia szeptem tylko był cichym. Roman go nie dosłyszał.

— Przy kim komenda?

— Przy tobie — odpowiedziałem a przez głowę przebiegła mi, jak błyskawica, myśl: — Zapóźno!

— Dobrze; zaczynam — rzekł Roman.

Wogóle zauważyłem w tej chwili, że niezmiernie był rozgorączkowany: z przejęciem się wszystko robił, wszystko urządził, jakby mu życie było ciężarem.

— Żegnam cię, Maryo! — zawołał nagle.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## PODANIA O ŚPIĄCYCH RYCERZACH

przez

Bronisława Grabowskiego.

(Dalszy ciąg).

Również i u Serbów Łużyckich, owego maluczkiego szczątku Słowiańszczyzny Połabskiej, lud

1) „Do chwały nie idzie się drogą ukwieconą“. Dante.



opowiada sobie legendę z tejsamej, co i poprzedzające, kategorii. Umieścił ją w *Czasopiśmie Macicy Serbskiej* za r. 1877 (w zeszytach II) M. Róla. Brzmi ona jak następuje: „Gdy pewien król (albo cesarz) pobitym będzie tak, iż mu tylko kilku wojaków zostanie przy życiu, zbierze ze wszelkich stron wiernych swoich i uderzy na wrogów. Wtedy wyjdą na pomoc z góry wojownicy jezdni i piesi i wraz z nimi król zwycięstwo odniesie. Rycerzy tych zowią „horjenje“ (wojownicy z góry); śpią oni we wnętrzu pewnej góry. Raz na rok góra się otwiera i wtedy przychodzi kowal podkuć konie; zapłata dla niego już tam leży przygotowana. Pewnego razu kowal nadebrał jednemu z wojowników na głowę; ten zbudził się i zapytał: „Czy już czas, czy jeszcze te ptaki z długimi ogonami latają dokoła?“ (Są to sroki, o których lud sądzi, że na siedm lat przed Sądem Ostatecznym wyginą). Na siedm lat przed sądem ostatecznym powstaną i uwolnią owego króla (czy tam cesarza) od wszelkiej obawy“.

W tej prostej bajce, w sposób wielce nieokreślony przyszłość daleką przepowiadającej, jakże wyraźnie odbija się duch ludu, ujarzmionego już od lat blisko tysiąca, ludu, co już wszelkie ideały polityczne był zatracił! Może owi wojownicy mieli być ostatniemi Łużycan wojskiem, które ostatni bój z Niemcami toczyło, a ten król, czy cesarz, którego mają ratować w nieszczęściu, może ma oznaczają jakiegoś przyszłego władzę narodowego, co kiedyś po wieków upływie, ujarzmionemu narodowi słowiańskiemu wolność powróci. Może takim podaniem dodawali sobie otuchy podbici po ostatecznej klęsce narodowej. Podanie przetrwało stulecia, przechodząc w dalekie pokolenia; ale ze zniknięciem uczuć, jakie służyły mu za podstawę, straciło barwy i określone bliżej znaczenie.

I na południu Słowiańszczyzny znajdujemy męza, w którego śmierć fizyczną wyobrażnia ludowa uwierzyć nie chciała. Był nim ów napółbajeczny awanturnik, przedstawiciel zuchwałego, ale niestety, bezcelowego junactwa, ulubieniec pieśni i podań serbskich, chorwackich, bośniackich i bułgarskich: królewicz Marko.

Jedna pieśń serbska, znana ze zbioru Wuka Karadzica, każe junakowi umierać przyrodzoną śmiercią. Marko jechał pewnego razu na swym rumaku Szarcu, który potykał się i lży ronik. Wila z góry Urwiny oznajmia bohaterowi, że wierny Szarac przeczuwa śmierć swego pana, więc go serce boli, że się z nim rozłączyć musi. Przepowiada mu, że umrze, ale nie od szabli ostrej, nie od buzdyganu lub kopii bojowej, jeno z rak Boga, *staroga krvnika* (zabójcy). Marko zsiadł z konia, uciął mu głowę, aby na nim Turek nie jeździł, szablę i kopię połamał, buzdygan rzucił w morze i leżał na trawie, gdzie zasnął snem ostatnim na ziemi. Mnił pewien zabrał ciało Marka do łodzi, przewiózł je na Górę Świętą (Atos) i tam pochował w cerkwi Wilindar; nie położył wszakże żadnego znaku na grobie, aby wróg przeklęty nie znalazł go i nad umarłym zemsty nie wywarł.

Taki zgon ma coś mytycznego w sobie, graniczącego z wyobrażeniami innych ludów o śpiących bohaterach. Toteż krok tylko pozostawał do otoczenia umarłego Marka takimsamym urokiem nieśmiertelności, jakim otoczono przednim Karola W. i Fryderyka Barbarosę. I rzeczywiście istnieje podanie, utrzymujące, że Marko nie umarł, ale śpi zamknięty w grocie, w Bałkanach; kiedyś zbudzi się i chrześcijan ostatecznie z jarzma tureckiego wyzwoli.

Baśń chorwacka taki koniec głośnego junaka zabarwia lekko żywiołem humorystycznym. Powiastka owa zaczyna się od tego, że była jedna matka, a miała syna królewicza Marka, junaka, ten był mały i słaby z początku, dopiero sobie od Wili dar siły wyprosił. Dokazywał on wiele po świecie; nikt z junaków przemódz go nie zdołał; wreszcie dożył chwili, gdy broń palną wynaleziono. Wtedy przyszedł Marko do pewnego pasterza, który strzelał ptaki. — „Co ty robisz?“ — pyta go Marko. — „Jak widzisz, strzelam ptaki, a mógłbym i ciebie zastrzelić.“ — „A jakżebyś tem mógł mnie zabić? Junacy zabić mię nie zdołali, a cóż dopiero ty!“ I wyciągnawszy dłoń, rzekł: — „A więc strzel mi w rękę“. — Pasterz strzelił i rękę prze-

strzelił królewiczowi. Wtedy rzekł Marko: — „Nie mogę dłużej wyżyć na świecie; lada oberwanie mógłby mnie zabić: pójdę raczej sobie“. I odszedł do jednej jaskini, a tam do dziś dnia żyje.

Pewnego dnia spuścili do tej jaskini jakiegoś człowieka na łańcuchu, a gdy ten się tam dostał, wnet przystąpiła Wila do niego i rzekła: — „Daszo chrześcijańska, czego tu sobie życzysz?“ A ten powiedział jej, co i jak. Marko usłyszał, że się tu ktoś odzywa: zapytał więc Wili: kto to taki? Wila powiedziała mu, że człowiek z tamtego świata przyszedł zobaczyć: co jest w tej jaskini. Wtedy Marek ozwał się, aby przystąpił do niego; chce bowiem zobaczyć, jaką teraz ludzie mają jeszcze siłę: więc prosi go, aby mu podał rękę. Wila dała człowiekowi rozpalone żelazo; Marko pochwycił je i ścisnął rękoma tak, że aż woda z niego popłynęła i rzekł: — „Och, jeszcze mógłbym żyć na świecie, choćby nikt przez trzy dni o mnie nie wspominał“. I polecił człowiekowi, aby rzekł panu swemu, iżby tu przyszedł znowu. I dał mu list, własną ręką zapieczętowany, a potem puścił go na ziemię. A gdy człowieka wyciągnięto do góry, tenże oddał list panu swemu, ale panowie, obawiając się, aby Marko nie powrócił, list ów zataili, iżby ludzie nie wiedzieli, że Marko jest w tej jaskini. Widzą do dziś dnia jeszcze ślady konia jego.

W tem zakończeniu przebija się rys charakterystyczny, płynący ze stosunków doniedawna jeszcze trwających pomiędzy szlachtą a ludem wiejskim. Smutna to strona dziejów wewnętrznych Chorwacy: ucisk włościan, ucisk, co wywoływał krwawe wojny społeczne, z których jedna, prowadzona przez Mateusza Gubca „króla chłopskiego“, w rocznikach historii strasliwą zostawiła pamiątkę. Może lud chorwacki żywił w tajnikach duszy nadzieję, że zmartwychpowstały, a raczej nieumarły, junak, orężem lepszą dla niego wywalczy dół, i ztąd też podejrzewał panów, że list Marka we własnym interesie zataili.

Czarnogórcy mają także swojego nieśmiertelnego bohatera: jest nim „Dziad ich Cernojewicz Iwo“, założyciel małego ich państewka, pierwszy, który dla miłośników wolności i nieprzebraganych bisurmanina wrogów, na szczytach skał niedostępnych sokole usłał gniazdo. Śpiącego jednak pilnuje Wila górską i budzi go wtedy, gdy nadejdzie czas wywalczyć mieczem „Kotor ravni i Sinjel more“, to jest Kotor z jego zatoką, przedmiot najgorętszych pragnień i marzeń drobnutkiego owego państewka. Jak widzimy, każdy lud od śpiącego bohatera wyczekuje urzeczywistnienia najserdeczniejszych ideałów swoich.

Dziwna rzecz, iż zaszczyt nieśmiertelności, jaki gdzieindziej dostawał się wielkim dobroczyńcom narodów, u ludu wielkoruskiego przypadł w udziale bohaterom smutnej pamięci, wodzom strasznych powstań ludowych: Steńce Razinowi, Wańce Kainowi, Emelce Pugaczewowi, a nawet Gryszce Otrepielowi czyli Dymitrowi Samozwańcowi. W okolicach Wołgi, gdzie niegdyś hulał Razin ze swoją drużyną, w tak zwanych „Razińskich Bugrach“, znakomity rozbójnik, według podania ludowego, ukrył bogactwa swoje w głębokich piwnicach, za żelaznymi drzwiami, gdzie dotąd leżą zakłute. Steńka Razin żyje dotąd, zamknięty w skale, strzeże skarbów swoich i cierpi męki; ziemia bowiem przyjął kości jego nie chciała. Czasami ze swego zamknięcia wyjeżdża na białym koniu, w złotych szatach; czasami nawet pokazuje się ludziom. Raz majtkom, idącym ponad brzegami Morza Kaspijskiego, ukazał się starzec, niby mchem obrosły. — Witajcie! — powiada — czy byliście kiedy na liturgii w pierwszą Niedzielę Wielkiego Postu? czy słyszeliście kiedy, jak przeklinają Steńkę Razina? Ziemia nie przyjęła mnie za moje grzechy; za nie jestem przeklęty i skazany na straszne męki. Ssą mnie dwa smoki; jeden od północy do południa, a drugi od południa do północy. Sto lat minęło: jeden smok odleciał, drugi pozostał; przylatuje do mnie o północy i ssie moje serce; odejść od góry nie mogę, bo smok nie puszcza. Jeszcze sto lat minie: w Rosyji rozmnóżą się grzechy, ludzie zaczną zapominać Boga, przed obrazami zamiast świec woskowych zapalą łojowe; wtedy ja powrócę na

świat Boży i zaczęę hulać gorzej niż przedtem<sup>1)</sup>“. Razem z nieśmiertelnym tym rozbójnikiem siedzą w pieczarze półludzie z jednym okiem, jedną ręką i jedną nogą; chcą poruszać się, zginają się we dwoje i wtedy biegają ze zdumiewającą szybkością. Trudnią się, całkiem tak, jak starożytni Cyklopowie, kowalstwem i z żelaza wykuwają podobnych sobie; dym, wychodzący z kuźni, roznosi po świecie Bożym obłożne choroby: dżumę, ospę, gorączki i t. d.

(Dokończenie nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Październiku 1881 r.

### Kongres literacki międzynarodowy.

Prawo własności literackiej jest przedmiotem spornym. — Główność obrad kongresu. — Ludzie i rzeczy. — Francuzi, Niemcy, Kraszewski. — *Concordia* (Festkneipe). — *Maenergesangsverein*. — *Kahlenberg*. — *Semmering*. — Salon magnacki u dziennikarza. — *Lazarus Ozadaniu kongressu*. — *Mickiewicz O przesądach*. — *Ulrich O W. Hugo*. — *Lermine i Ulbach O Wiedniu*. — *Rittershausen O kobietach*.

(?) W ubiegłym miesiącu hołdował Wiedeń dwóm rzeczom: wycieczkom balonowym Godarda i kongressom literackim. Zachodzi tu pewne powinowactwo. W braku środków komunikacyjnych są światy powietrzne tylko ptakom znane, ludzie więc chciwie chwytają za sposobność poznania ich, choćby tylko w przelocie. Pomimo kolei żelaznych, telegrafów i gazet, pomimo ciągłej wymiany myśli między narodami, są one przecież nawzajem dla siebie o tyle jeszcze nieznanymi, że sposobność sprawowania w jedno miejsce i poznania przedstawicieli różnych narodów ma zawsze powab nowości i wielkiej przyjemności. Sposobność taką nastrocza Stowarzyszenie Międzynarodowe Literackie, urządzając kongresy. Odbyły się już trzy zjazdy: w Paryżu, w Londynie, w Lizbonie, a czwarty w ubiegłym miesiącu, w Wiedniu. Dziwna rzecz: kongresy te nadzwyczajnie ludzi różnych narodowości do siebie zbliżają, a cel ich główny, gdyby w zupełności osiągnięty został, utrudniałby właśnie wielce wzajemne poznawanie się i wymianę myśli. Powszechne bowiem w każdym państwie uznanie wzajemne *własności literackiej*, w ogóle duchowej, gdyż idzie tu, i o muzykę, i o reprodukcje graficzne, utrudni wielce korzystanie z utworów innych narodów, zmniejszy liczbę tłumaczeń, gdyż nie wszędzie warunki rozwoju piśmienniczego pozwalają płacić osobno za prawo tłumaczenia, a osobno za samo tłumaczenie. A kto wie czyby to utrudnienie tłumaczeń nie stało się zczasem niejako cłem protekcyjnym, nałożonem na obce towary dla podniesienia własnej produkcji?

Przeciw prawu własności literackiej w obrębie jednego i tego samego narodu nie można wynaleźć żadnego argumentu. Jeżeli n. p. *Gazeta Narodowa* we Lwowie zdawała w ten sposób sprawę z obrad nad własnością literacką, że sobie przywłaszcza sprawozdania *Dziennika Poznańskiego*, bez przytoczenia źródła, jest to prosty rozbój i strojenie się w cudze piórka. Co się tyczy jednak stosunków międzynarodowych, to można przytoczyć wiele za, ale i wiele przeciw. Zamiast rozprawy weźmy przykłady. Jedna komedia dobra przynosi autorowi we Francji 100,000 fr. majątku i nadto stałą rentę z kilkunastu, a nawet z kilkudziesięciu teatrów. Jeżeli tę komedię nasze teatry przedstawiają, to autor ów pozbawiony zostaje wynagrodzenia, które w naszych stosunkach musiałoby być tak małym, że strata autorska za ledwie w rachubę wprowadzoną być może. Wymaganie wszelako i tej małej opłaty bardzo często wydawałoby ten skutek, że komedia nie byłaby przedstawioną, jak w podobnym wypadku powieść

1) Podanie to opowiada Kostomarov w monografii swojej „Buncie Razina“.



nie doczekałaby się tłumaczenia. W zakresie literatury nadobnej zaszczytu przekładów dostępują zwykle dzieła autorów pierwszorzędných, z narodów wielkich i bogatych: autorowie tacy, w takich narodach, przyrównani być mogą do magnatów, nie tylko intelektualnych, ale i pieniężnych, więc i przekłady, choćby bezpłatne, dalibóg, krzywdy im nie czynią.

Najgorętsi (czyli najchciwsi) nawet, Francuzi, poplecznicy prawa własności duchowej, uznają, że przeprowadzenie jej w praktyce wymaga nadzwyczajnej ostrożności, zastrzeżeń, ażeby przypadkiem upragnione dziś ograniczenia prawne nie powstrzymały rozwoju umysłowego narodów. Zeznają też wszyscy, że obok statutowego celu i obrad nad nim, mają te kongresy może ważniejszą, inną dobrą stronę: mianowicie wspomnianą na początku sposobność wzajemnego poznawania się, zawiązywania znajomości, stosunków, nabywania przez to, z szybkością elektryczną, wiadomości o ludziach i rzeczach. Strona ta kongressów, usuwająca się z pod sprawozdania, (boć trudno na razie sprawdzić, czy i oile kto „zyskał“ i „dojrzał“) jest jednak — najważniejszą. Zdanie to zyskuje zwolenników w kierownictwie kongressowem, gdyż obok kwestyj natury prawnej, coraz więcej zaczynają przeważać w programacie kwestye informacyjne, zgodnie z tem, co stanowi ciągły przedmiot rozmów na posiedzeniach. Te kwestye wiecej zajmują, a najwięcej naoczne poznanie ludzi i krajów, w których się kongres odbywa. Sprawozdanie obejmować więc nasze musi te trzy działy: właściwe obrady, rozprawy luźne, ludzie i rzeczy.

Mieliśmy równocześnie dwa kongresy: *Niemieckiego* związku literackiego i *Międzynarodowego*. Był w tem cel: raz, żeby zapewnić większą powagę przez liczne uczestnictwo; powtóre, żeby zaimponować masą Niemców, stwierdzić jedność i łączność wszystkich ludzi „der deutschen Zunge“ wszystkich przeważać i pokazać innym, że tu, w Wiedniu i w Austrii, są tylko Niemcy, bo jeżeli są i inni, to nic nie znaczą wobec Niemców. W odpowiedzi na takie wyzwanie godziło się, ażeby wszystkie ludy słowiańskie, żywe i rozwijające się, stanęły *pour faire acte de présence*; żeby przybyli uczestnicy z Pragi, z Zagrzebia, z Cieszyna i t. d. Nie przybyli — za wszystkich stanęli jedni tylko Polacy; lecz i tak zamiar Niemców się nie udał: kongres niemiecki ledwo że się pojawił, wsiąknął w ogólny, międzynarodowy, a ten miał charakter francuski, przytem i różnonarodowy, lecz bynajmniej nie niemiecki.

Obrady w kwestyach własności literackiej nie przedstawiały wcale wielkiego zajęcia, zwłaszcza dla nas. Rozprawiano o potrzebie jednolitości prawodawstwa urządzającego własność literacką u ludów jednoszczepowych jak Francya, Włochy i Hiszpania, jak Anglia i Ameryka, która to ostatnia na ogromną skalę rozbójnictwo literackie prowadzi. Bardziej zajmującymi mogły być rozprawy odnoszące się do prawa własności literackiej w Rosyi. Krylow, pisarz dramatyczny — (dwie jego komedye grano w Krakowie w tłumaczeniu Kozłowskiego) wyjaśnił, że co się tyczy przedstawiania obcych utworów w Rosyi, to można mieć na uwadze tylko teatru rządowego, cesarskiego, więc tylko ich administracya mogłaby za prawo tłumaczenia płacić. Wspomniał tensam uczestnik kongressu, że słynna komedya *Daniszewy* jest tylko utajoną przeróbką rosyjskiej komedyi, że więc i Francuzi <sup>1)</sup> czasem *kradną*. Ostatecznie nikt na kongressie nie umiał nic stanowczego powiedzieć o prawodawstwie rosyjskiem. Kongres zatem odroczył tę sprawę do następnego roku i porucił wypracowanie memoriału d-rowi Roszkowskiemu prof. prawa międzynarodowego we Lwowie.

Przechodzę do działu drugiego. Tutaj zasługują na wzmiankę dwie rozprawy. Najpierw Widmann czytał o literaturze, zgadnijcie — *austriackiej*! ażeby obcych przekonać, iż literatura *austriacka* znaczy to samo, co *niemiecka*, która istotnie w bardzo znacznej części w Austrii się rozwija. Mianowicie poezya dramatyczna ma w Wiedniu najświetniejsze sceny, na których panują poeci ca-

łego świata. Dodać potrzeba, że i dziennikarstwo niemieckie tutaj jest najlepiej zorganizowane, co Francuzi mieli sposobność sprawdzić i czemu się bardzo dziwili. Jużto zresztą nie łatwiejszego, nad zadziwienie Francuza; co do statystyki i geografii są oni ignorantami i barbarzyńcami, lecz ich ten defekt nigdy w kłopot nie wprowadza. Rozprawa Widmanna była jednak, jeżeli nie zmysłu stroniczą, to zbyt pobieżną i powierzchowną. Dla nas nie było w niej nic nowego — Francuzom bardzo się podobała.

Ważniejszą i stokroć więcej wartą była rozprawa p. Władysława Mickiewicza *O przesądach panujących u różnych narodów o innych narodach*. Do tego działu należy też konferencya, którą tu w dodatku do kongressu Francuzi urządzili, i ich publikacye tutejsze wywołane przez kongres. O tych rzeczach poniżej obszerniej, a przechodzę do działu trzeciego: *ludzie i rzeczy*.

Uczestników kongressu było 75; członkowie niemieckiego zjazdu byli tylko gośćmi, świadkami. W liczbie siedmdziesięciu pięciu — znakomitości znalazło się bardzo mało; wymówili się, czyli wytłómaczyli swą nieobecność: Augier, Feuillet, Daudet, Sardou, Freytag, Heise i inni tej miary — nie przybyli. Pomiędzy Francuzami wybitniejszymi byli: Ulbach, powieściopisarz, postać zażywna, twarz kardynalska, rumiana, bez zarostu, podbródek, wyraz pewności siebie i spokojnego zadowolenia; Ratisbonne, poeta, autor *Comédie enfantine*, niegdyś członek redakcyi *Journal des Débats*, kilku redaktorów, jeden professor, Adolf Belot, powieściopisarz nieszczególnie sławy — wreszcie Lermina, typowy Francuz, zdaleka przystojny brunet, zbliżka dziobaty, ruchliwy jak żywe srebro, twórca i sekretarz stowarzyszenia, autor kilku awanturniczych powieści. Zpomiędzy Niemców zwracali na siebie uwagę: Bodestaedt, poeta i krytyk, tłumacz Shakespeare'a, wysoki, siwy, zespiczastą brodą, towarzyski — i Lazarus professor z Berlina, typ germański, blondyn z dużą brodą, jasnymi oczyma, uczony, ale popularny, filozof, ale nie pedant. Mowa jego przy powitaniu była najlepszą, a raczej jedyną piękną ze wszystkich przegodnych przemówień podczas całego tygodnia. Bardzo też był głośnym Rittershausen, poeta i — kupiec! ładny powiedział wiersz o kobietach, jeden z dziesięciu, które tubalnym głosem przy każdej sposobności skandował. Laube, dramaturg, raz się tylko pokazał. Najwięcej było redaktorów i dziennikarzy.

Polaków przybyło 15, a między nimi, jako największa i jedyna uniwersalna znakomitość z całego kongressu, J. I. Kraszewski. Jest on tak czynny, krzepki, niezmordowany, jak był zawsze. Policzki mu się trochę wyciągnęły, oczy trochę zapadły, postać pochyliła: ale siły są, duch żywy; wszystko wie, wszystkim się zajmuje, narzeka tylko na jeden brak — *na brak czasu*. Nagłe mrozy i różne prywatne nieprzyjemne wiadomości sprawiły, że po kongressie zasłabł, lecz po dwóch dniach się zdźwignął i wrócił do Drezn. Ma tu przybyć znowu w Stycznii w sprawie wydawnictwa niemieckiego przekładu różnych dzieł swoich, wychodzącego u Hartlebena. Z Paryża przybyli: Chodzkievicz, lingwista, prezes, bardzo poważany i lubiany, i Władysław Mickiewicz, podobny do ojca, człowiek cichy, skromny, a głęboki, bardzo sympatyczny.

Polacy z przebiegu kongressu mogą być bardzo zadowolonymi. W komitetach zajmują zaszczytne miejsca z wyboru: Kraszewski, Chodzkievicz, Mickiewicz, Teofil Lenartowicz, Szymanowski. Memoriał o prawodawstwie rosyjskiem poruczony, jak wyżej, Polakowi; odczyt Mickiewicza bardzo życzliwie przyjęto.

Inne narody miały zaledwo po jednym lub dwóch reprezentantów, mało znanych. Było jetezce kilkanaście kobiet literatek niemieckich, których jednak rodacy ich nieznali. Była też ze Szlązka pruskiego bar. Valesca, której córka jest za Prądzyskim, synem niegdyś Ignacego, znanego z dziejów naszych.

*Concordia*, towarzystwo literatów i dziennikarzy, posiadające kilka domów, kapitały, znaczne dochody, lokal klubowy z czytelnią... i karcarnią, było gospodarzem kongressu. Gospodarzowi szło

o to, żeby utrzymać sławę Wiednia jako *Weltstadu*; komitet zadał sobie bardzo wiele pracy: lecz nietrudnem było dla *Concordii* wspaniale podejmowanie gości, gdyż ma ona takie znaczenie, że na usługi jej są: koleje, statki, teatry, rada miejska. Programmat obejmował cały tydzień, dostarczał codziennie coś nowego, co tylko jest najlepszego w Wiedniu, i wszystko zadarmo. Okoliczność ta wprawiała i Niemców i Francuzów w zachwyt. Obfitował też programmat w rzeczy charakterystyczne, *specyalnie wiedeńskie*.

I tak powitanie i pożegnanie kongressu odbywało się na t. z. *Festkneipe*; popolsku tego wyrazić nie podobna bo i rzeczy samej nie znamy. Kongres zbiera się w publicznym lokalu w salach t. z. kwiatowych, ładnie udekorowanych, po ścianach tarcze z napisami we wszystkich językach — lecz w żadnym słowiańskim. Obecni zajmują stoliki restauracyjne, jedzą i piją, każdy dla siebie: ubiór, jaki kto chce, jedni we frakach, inni w paltotach, kobiety jedne pobalowemu, inne podomowemu; gwar, dym z cygar: knajpa. Naraz tworzy się towarzystwo, zebranie, salon; na trybunę wychodzą mówcy w białych krawatach, prezydenci; gromadki otaczają mówców, lecz inni bawią się przy swoich stolikach i dzwonią kufkami, a kelnerzy ciągle się uwijają. Już chyba taką *Festkneipe* najwłaściwiej byłoby nazwać *bigosem towarzyskim*. Podczas produkcyj pod nos koncertantom puszczały słuchacze dym z cygar.

Dwa były koncerty, także *specyalność wiedeńska*, sławnego towarzystwa śpiewaków „Maennergesangverin“, które jeżdżło już po całej Europie, a teraz wybiera się do Konstantynopola, składają je ludzie młodzi i starzy, zajmujący wyższe nawet stanowiska, a wszyscy zapaleni dla swojej sztuki. Chóry odśpiewane były prawdziwą biesiadą artystyczną.

*Specyalnością* w tej specyalności jest *kwartet komiczny* — coś niby nasz Bartels, wykonywający dramatycznie — charakterystyczne utwory, parodye i t. p., ale z całym artystem muzyki i komiki.

Dwie miejscowości ze ślicznych okolic Wiednia zwiedzał kongres: statkami wycieczka na Kahlenberg, obozowisko Sobieskiego, którego też i obcy i p. Szymanowski w taktownem przemówieniu przypominał; koleją zaś na Semmering, drogą wijącą się szlismakiem na szczyty austriackich Alp. Tam najpierw bankiet, a *menu* drukowane na szpulce wielkiego brązowego *pióra*; podczas bankietu śpiewy ludowe styryjskiego (niestety, niemieckiego) towarzystwa śpiewaków; wieczorem wycieczka na szczyty, zjazd wspaniałych widok na doliny, tunele i wiadukty, oświecenie okolicy sztucznymi ogniami, powrót w nocy do stacyi przy świetle kilkuset lampionów, a podczas drogi ożywione towarzystwo, wędrowki z wagonu do wagonu — a kto miał ochotę, brał do ręki dzienniki wszelakie — przez gospodarzy roznoszone.

Miasto dało *monstre-bankiet* w t. z. „Cursalon“, w Parku Miejskim. Zastawa, bufety lukullusowe, pawie i ryby w całej okazałości naturalnej, napoje według wyboru. Lecz i tu Niemcy, ku największemu zgorszeniu gospodarzy, zrobili z towarzystwa *knajpę*. Nie było wspólnego stołu, lecz stoliki osobne. Niemcy podchmielili sobie: więc nuż każdy przy swoim stole prawie mowę, krzyczeć, śpiewać, wyć, przypijać; nie było sposobu ani do mówienia ani do słuchania toastów, pomimo, że Strauss usiłował fanfarami gwar uciszyć, pomimo, że Lermina wymyślał naostro i wyrzucał całą nieprzyzwoitość zachowania się. Knajpa zwyciężyła, a z nią karczemny gwar i dym z cygar — których pełne *etui* każdy gość otrzymał.

Na przedstawienie w teatrze (także zadarmo) złożyli się artyści najlepsi z wszystkich teatrów wiedeńskich, z dramatu, z opery, z komedyi, z baletu.

Nadto zwiedzał jeszcze kongres wspólnie nowy ratusz. Jest to olbrzymi poemat zaklęty w cios, marmur, granit i porfi, budynek kosztujący 7 milionów guldenów, arcydzieło architektury, jakiego żadne miasto nie posiada.

Odbyło się jeszcze kilka pomniejszych zebrani knajpowych, biesiadnych, śniadaniowych i reklamowy obiad, dany przez redakcyą *Wiener Allgem. Zeit.*, która jest fanatycznym wrogiem wszystkiego, co słowiańskie, a uchodzi za organ ludzi tak

(1) Autor *Daniszewych* nie jest Francuzem.



zwanych kandydatów na ministrów, którzy chcą tylko na obalenie dzisiejszego rządu, przedstawiającego kierunek autonomiczny, przychylny rozwojowi krajów słowiańskich. Dziennik ten wychodzi 3 razy na dzień, pochłoniął już 600,000 zł. reń., a gdy na obalenie rządu wcale się nie zanosi, więc podobno dni tego *Weltblattu* są już policzone.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## SZEREGOWIEC

Wspomnienie z 1870 roku

przez

Alfonsa Badin

(przekład z francuskiego).

(Dalszy ciąg)

Obiegała pogłoska, że aż do Saint Thiébaut będziemy prowadzeni tylko przez officerów dyżurnych, jakgdyby to był tylko prosty przemarsz; że taki rozkaz wyszedł od generała korpusu. Ale pokazało się inaczej: mieliśmy tę smutną pociechę, że nikt nie usunął się od współnictwa niedoli i, poczuwszy od najmłodszego podporucznika, aż do generała dywizji, Laveaucoupet, wszyscy officerowie byli z nami, nikt nie cofnął ust od kielicha połunu i żołci, którychśmy wypić musieli.

Wymarsz odbył się spokojnie. Wychodziliśmy przez wielką bramę koszar Coislin i teraz jeszcze, na widok maszerujących tak porządnie, batalion za batalionem, ogarniało nas mimowolne złudzenie; zdawało się koniecznie, że idziemy na mustę, na przegląd jakiś, a nie do niewoli, między dwa rzędy pruskich bagnietów.

Gdybym żył sto lat, nie zapomnę nigdy tego powolnego pochodu przez zabłocone ulicę Metz podczas okropnej niepogody, deszczu i wiatru. Jeszcze dziś dość mi tylko zamknąć oczy, aby ujrzeć te ulice wąskie, te sklepy pozamykane i ćwiercie koniny zawieszane poza kratami rzeźniczych jatek. Widzę ludzi patrzących z okien lub stojących przed domami. Spoglądano na nas ze łzami w oczach; kobiety—wszystkie w żałobie—podawały nam welniane szale na szyję, ciepłe okrycia, nawet koszyki z pożywieniem, lub butelki wina.

Widzę również i biednych towarzyszy moich, każdego z wyładowanym tornistrem na plecach, z węzłkiem rzeczy, związanych w chustę jakąś, z pakunkiem nędzy, niesionym przy kiju przez ramię. Od chwili, gdy bramy miasta przed nami otwarto, wszystka ta ludność zamiejska, która się tu schroniła ze strachu przed Prusakami, teraz jednomyślnie rzuciła się do powrotu. — Do domu, do domu! — wołano zewsząd i śpieszono się do opuszczonych swych siedzib, które, niestety, nie tylko zostały zrabowane, ale spalone, zrównane z ziemią. Wszystkie wsie i folwarki okoliczne uległy temu losowi i tłumy nieszczęśliwych śpieszyły, aby się i płakać na ruinach....

Wyjeżdżano na wozach i wózkach wyładowanych mnóstwem sprzętów: łózka, pościel, radle, garnki nawet, sterczały poupychane, jak się dało. Dzieci i kobiety pchały zwykle ztyłu, mężczyźni ciągnął z przodu, a wszystko wśród hałasu, zamieszania, niewytłomaczonego pośpiechu. Zdawało się, że i teraz uciekają przed Prusakami.

Z drugiej strony wozy z żywnością, którą śpieszono dostawić miastu, zjeżdżały się i stawały na placach. Mnóstwo kobiet cisnęło się tam, kupowano, targowano wśród najwyższego nieładu: ludzie muszą żyć, muszą jeść....

Dopiero za rogatkami, za okopami miasta mogliśmy się znów uszykować w porządne szeregi. Mijając redutę „du Pâté, spotkaliśmy się ze smutnym obrazem opuszczonego obozu. Na gruncie rozmokłym od deszczu, poranym w różnych kierunkach kołami wozów, leżały stosy jakichś przed-

miotów bez nazwy, resztek porzuconych; było tam kilka padłych koni, którym wykrojono już całe części tylne, jeden żywy, przywiązany do słupka i zapomniany, kilka mułów błędzących smutnie między połamanymi dyszlami i osiami wozów: oto wszystko z obozu wybornie oszańcowanego, któryśmy podziwiali przez cały czas oblężenia.

Wioska Sablon, którąśmy minęli, zostawiając ją nalewo, przedstawiała niemniej smutny widok. Ktoby był poznał to wdzięczne, miłe miejsce, śmiejące się do widza mnóstwem willi, szaletów, letnich pomieszek, gdzie ludność Metz lubiła przepędzać niedziele i święta! Wszystko to było zniszczone, zrabowane zburzone po wandalisku. Kościół piękny, w stylu gotyckim, stracił wieżę, wspaniałe okna kolorowe były potłuczone, wielkie drzwi główne, delikatnie rzeźbione, wisiały na jednej zawiasie, skrzypiąc złowrogo. Ani jeden dom wioski nie pozostał mieszkalnym.

Dopełnieniem obrazu było Metz, rysujące się na widnokręgu, z twierdzą swoją i oszańcowaniem nienaruszonym. Widać je było przez mglistą firankę, nieustającego ani na chwilę, deszczu: wyniosłe, silne, panujące ponad ogromną a pustą płaszczyzną; zdawało się, że przeciągnął nad nią jakiś straszliwy huragan i zamiótł ją w okropny sposób.

Postępując bez odpoczynku, dosięgliśmy i minęli Magny-sur-Seille. Jeszcze kilkaset kroków, a wkroczymy w linie obozu pruskiego.

Wszystkich, officerów i żołnierzy, przejęło jedno, nieopisane uczucie żalu, wstydu, upokorzenia. Nie patrzyliśmy na siebie; ledwo czasem dał się słyszeć jakiś okrzyk stłumiony; posępna cisza przerywał tylko głuchy odgłos miarowych kroków kolumny, maszerującej po błocie. Zdawało się, że jesteśmy szeregiem widm, a raczej ciał bez ducha.

Ale naraz stało się inaczej: mimowolne i ogólne pragnienie oporu, walki, jakiegoś gwałtownego czynu, podniosło wszystkie piersi, gdyśmy ujrzeli w oddaleniu czarne pułki Prusaków pod bronią, wyciągnięte z jednej strony drogi, z drugiej generałów, każdego ze sztabem swoim. Iskry zaświeciły nam w oczach, czoła się podniosły; gorące, szalone, bezrozumne uczucie nienawiści ogarnęło nas, i Bazaine widać dobrze znał ludzi, gdy nie przyjął dla armii naszej tak zwanych honorów wojskowych. Gdybyśmy byli mieli broń w rękę, byłoby przyszło niezawodnie do walki, krwawego starcia. Nieużyteczne już i stłumione natychmiast, byłoby jedynie zostawiło po sobie stosy trupów, bo Prusacy tak zapewne przez ostrożność, jak dla świadczania nam godności, byli w pełnym rynsztunku. Mieli broń nabitą, jak doowiedzieliśmy się później.

W każdym razie dzięki tej chwili uniesienia 2-gi korpus przedelfował przed frontem nieprzyjaciela w postawie spokojnie dumnej. Nie zrobiliśmy widowiska z boleści naszej. Maszerowaliśmy jeszcze z kwadrans czasu i przybyli do wioski Saint-Thiébaut, gdzie kazano nam stanąć. Był to pierwszy etap naszej hańby; teraz nadechdziło najcięższe doświadczenie: oddanie nas Prusakom. Nie wiem, jak było gdzieindziej, ale w naszej dywizji węzły braterstwa broni tak się zacisnęły silnie przez nieszczęścia przebywane, że chwila, w której pułk miał się rozstawać ze swymi officerami, była chwilą nieopisanie boleści. Ni gdy dziecko, wyrwane gwałtownie z domu rodzinnego, nie cierpi więcej od nas; cisnęliśmy się, łkając w koło naszych nieszczęśliwych dowódców, tak jak i my wzruszonych, tak jak i my zbołałych. Ścisaliśmy im ręce, prosili o pamięć, o wieści od nich: był to moment okrutny.

Ale ostatnie chwile zostawionej nam swobody uchodziły szybko i ujrzeliśmy wkrótce officerów pruskich, przesuwających się między kompaniami. Każdy miał w ręku papier i ołówek — spisywali nas.

Wtedy nasz kapitan, stary wojak z Afryki i Krymu, Meunier, chciał nas pożegnać, przemówić do nas i zakomenderować raz ostatni: — Nalewo, naprawo, sformować koło! — Moi przyjaciele, moi bracia, moje dzieci — rzekł, stanawszy w środku — pragnę....

Ale nagle uciał, kurcz mu ścisnął gardło i tylko coś jak jęk, jak łkanie głuche wydarło mu się

z piersi. Chciał się zwyciężyć, chciał gwałtem mówić, lecz nie mógł. Głos zniknął, wargi tylko, które poruszał, drżały blade. Wyciągnął żyłaste ręce, ale słowo żadne odezwać się nie chciało.

I żadne też słowo nie byłoby tak wzruszającym, jak to oniemienie z boleści; zapragnęliśmy wypowiedzieć kapitanowi to, że go rozumiemy. Któż przecież miał być tłumaczem naszych uczuć, kto miał mówić w naszym imieniu? Obejrzeliśmy się jeden na drugiego, i ze wszystkich stron dało się słyszeć jedno i to samo nazwisko. — „Dulaurier.... szeptano. Dulaurier!... zaczęto wołać głośno. — C'est cela: Dulaurier niech mówi“.

Dulaurier był prostym szeregowcem, ale używał w całym pułku wielkiego, szczególnego miru, prawie powagi i władzy nad wszystkimi kolegami. Byliśmy z jednej kompanii, ale los chciał, że mu był towarzyszem bliższym, niż inni. On był numer 3, ja 4, więc w koszarach, w szeregu byliśmy wciąż obok siebie i mogłem najlepiej poznać go, co-to za człowiek. Przywiązałem się do niego, jak do brata, i prawie że uważałem go, jak zwierzęchnika. Umiał też rozkazywać, nawet bez rozkazu, tak, jak teraz wszyscyśmy wiedzieli, że przemówić potrafi. Wystąpił na wezwanie, bleśszy niż zwykle, tylko szrama od rany, którą dostał pod Gravelotte, czerwieniła mu się na twarzy. Zaczął zwięźle i w prostych, spokojnych słowach; przypominał, że po zwycięstwach szczęśliwie odniesionych przez nasz korpus, po długim oblężeniu, bohatersko znoszonym, tak przez nas, jak przez miasto biedne, mogliśmy się spodziewać innego końca. „Lepszym, miłszym, chwalebniejszym byłby dla każdego z nas grób“ — rzekł namiętnie, ale zatrzymał się przedko. Nie chciał jatrzyć ran serc naszych, nie chciał powiększać cierpienia tej chwili okrutnej i wywoływać bolesnego wzruszenia. „Cierpienie dla ojczyzny i wraz z ojczyzną — jest przecież obowiązkiem tak wielkim, świętym i nieodwołalnym, że skarżyć się nawet na nie nie godzi“ — ciągnął dalej i w coraz wyższych, wznioślejszych, szlachetniej pięknych słowach, począł nam malować wielką postać Francji napadniętej, rozdartej, upokorzonej tak ciężko, jak przed niedawnym jeszcze czasem żadna wyobraźnia ludzka wymarzyć-by tego nie zdołała. — „Nieszczęśliwa! nieszczęśliwa matka i pani nasza! — wołał, a głos jego przy początku nieco głuchy, przyciszony, teraz rósł, potężniał, dźwięczył czysto i rozlegał się w powietrzu, napęlniając nam serca niewypowiedzianym wzruszeniem. Nasze nędzy, nasze bóle i upokorzenia, cóż to było w porównaniu boleści narodowej, i oto okropność naszego położenia tak jeszcze ogromna przed chwilą, teraz zaczęła nam maleć, błędną przed oczyma. Francja cierpiała więcej, Francja była też w tej chwili niewolnicą, i braki, trudy, poniżenia nawet, wydały nam się nagle prawie obowiązkiem, potrzebą.

On znów nagle uciał; przemówił od nas wszystkich, żołnierzy, do kapitana Meunier, potem do pułkownika i reszty officerów, nakoniec zwrócił głos do nas samych. — „Bracia — rzekł — nie wiem jakie są koleje czekających nas cierpienia, ale to, co wiem, starczy mi, abym nie upadł na duchu. Cokolwiek trzeba będzie nam przenieść, musimy przenieść odważnie i wytrwać, przeżyć wszystko, bo każdy z nas, żołnierz francuski: to ojczyzna, to Francja“.

Kapitan Meunier wyciągnął teraz ramiona; dostawszy Dulaurier'a w objęcia, byłby płakał wielkim głosem, ale on, mój towarzysz szlachetny, miał więcej siły. Podał tylko kapitanowi rękę i z uszanowaniem synowskim, ze schyloną głową uściśnął prawicę starego wojaka, który wstrząsając ją, wołał: — Dziękuję ci, Dulaurier! dziękuję.... Tosamo chciałem im powiedzieć, ale nie mogłem....

Moglibyśmy byli wszyscy powtórzyć to, co powiedział kapitan: każdy z nas mógł zawołać: — Dziękuję ci, Dulaurier! dziękuję. — Słowa tego człowieka wstąpiły nam w serca i podniosły odwagę, która słabła. Zrozumieliśmy, że obowiązkiem naszym było cierpienie, przyjęte spokojnie; dzielił się je z krajem, a w dodatku było to naszą powinnością, naszym honorem żołnierza francuskiego, aby boleść nie straciła nigdy na godności. Nie było już ani czasu, ani miejsca na skargi, na oburzenie, uniesienie namiętne; należało zaświadczyć wobec Niemców, że żołnierz francuski może prze-



grać na polu bitwy, ale mimo to nie poniży się, ani shańbi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ

Na tegorocznej wystawie ogrodniczej nagrodzono wystawczyń 10. Medale srebrne małe otrzymały pp. Franciszka Podczaska za ananasy, Pulcherya Sarnowska za warzywa, Marya Korprowska za podkładki do bukietów. Medale brązowe pp. Józefa Stefańska za bukiety, Marya Zaborowska za drzewka, Pulcherya Sarnowska za owoce. Listy pochwalne pp. Bronisława Surzycaka za owoce, Teodora Burbina za owoce, Pulcherya Sarnowska za owoce, Kazimira Janczewska za owoce, Józefa Stefańska za owoce, hr. Alex. Potocka za owoce, Gabryela O'Brien de Lacy za owoce. Stosunkowo do tego, cośmy w kierunku bardzo ważnej pracy kobiecej przypuszczać śmiało mogli, zastęp wystawczyń okazał się bardzo nielicznym; jedna tylko wystawczyni otrzymała nagrodę za warzywa, a niema żadnej obdarzonej medalem złotym lub srebrnym wielkim. Podobnie jak na wystawie gospodarczej, kobiety nasze nie przedstawiły się w liczbie, jakiej kraj miał prawo od nich wymagać.

Hrabina Branicka nabyła bogate zbiory archeologiczne, należące do p. Maliszkiewicza a wystawione na sprzedaż w Żytomierzu. Zapragnęła je posiadać spółka angielskich agentów, licytowała też uparcie i wysoko, ale zacna pani nie poskapiła grosza, aby szacowne zbiory nie wyszły za granicę. Jest to czyn uczciwego patriotyzmu i hr. Branicka zasłużyła na wdzięczność ogółu.

W szkole koronkarstwa p. Heleny Gabryelowej odbywają się obecnie zapisy na naukę rozmaitego rodzaju koronek, doszły liczby stu dziewiętnastu: dzieci 35, osób dorosłych 84. Że przecież przy obecnym zakresie szkoły, nauka nie może być udzielana na raz tak znacznej liczbie uczennic, zostaną one wedle daty zapisu podzielone na partye. Za pośrednictwem Redakcji *Bluszczu* zapisała się między uczennice księni jedno go z klasztorów żeńskich, przy którym istnieje szkoła robót dla dziewcząt; lecz dla tej światłobliwej matrony, poświęcającej się na pracę z pobudek dobroczynnych, nauka zostanie udzielana w najdogodniejszych, najodpowiedniejszych dla jej stanowiska warunkach i w każdym czasie, jaki zechce sobie wybrać.

W Wiedniu zawiązał się komitet pań z najwyższej arystokracji, mający na celu rozwój koronkarskiego przemysłu w Górach Kruszcowych i Dalmacyi. Stan panującego tam ubóstwa, wy maga takiego opatrzności zajęcia się wspomnianym przemysłem, który w Austrii wytworzyła kobieta; świętej rzeczywiście pamięci, Barbara Utmann. Czytelnicy *Bluszczu* znają te wzruszającą i piękną historią, jak poświęcenie jednej, średnio-zamożnej kobiety, ocalała od zatyry ludność Gór Kruszcowych, której mu przyswoiła chlebobajny przemysł, za pośrednictwem wędrownic, z pomiędzy wypędzonych przez księcia Alby emigrantów Niderlandzkich. Okólnik pań, które obecnie pragną prowadzić dalej dzieło Barbary Utmann, zwraca też uwagę osób interessowanych, że koronki, wyrabiane w górach czeskich, są tegosamego rodzaju, jakie wyrabiają się we Francyi i w Belgii, a wzory ich, pochodzące z XVI i XVII wieku, odpowiadają właśnie gustowi panującemu obecnie w tym kierunku. Wiedeńska Szkoła Koronkarstwa zajmie się wyższem robotnic kształceniem i dostarczaniem wzorów nowych, dla większego urozmaicenia robót; chodzi tylko o zbyt, i w tym celu cesarzowa austriacka nakazała, komu należy, z dworskiej swej służby, aby odtąd nie nabywano na potrzeby jej toalety innych koronek, tylko krajowe.

Wenecki przemysł koronkarski, tak wysoko rozwinięty w XVI i XVII wieku, że do najznakomitszych okazów koronek z owego czasu liczyły

się koronki weneckie, a zupełnie zagładzony następnie, gdy z upadkiem niepodległości kraju, wszystko w nim upadło, odżył obecnie i już zaznacza się na targu świata. Starczyło na to ośm lat czasu w połączeniu z poparciem, które przemysłowi tego rodzaju mogą dać tylko kobiety. Najślawniejsze z dawnych koronek weneckich wyrabiały się na wysepce Burano. W r. 1872 panował ogólnie w Wenecyańskim, a szczególnie na Burano głód wielki: trzeba było ratować ludność od strasznej śmierci, ale nie dość jest, aby moiżni kraju dali raz choćby najwspanialszą jałmużnę: należało podnieść stan ekonomiczny do tego stopnia, któryby nie dopuścił już ponowienia klęski, i dokonały tego dwie kobiety: księżna Chigi Giovanelli i hrabina Andriana Marcello. Zrazu rząd chciał zaprowadzić na wyspie przemysł wyrobu sieci rybackich, ale rybak włoski jest wogóle zabubogi na kupowanie sieci i wszędzie starczy mu wyrób własny, dokonywany w porze dla rybołówstwa niepodatnej. Trzeba było zatem szukać czegoś innego, i wtedy-to wystąpiły wspomniane panie z zamiarem wskrzeszenia sławnego „point Burano“. Rząd dawał fundusz na założenie szkoły, ale pokazało się, że sztuka była zaginioną, że nikt już nie posiadał jej nawet w stanie elementarnym. Przecież hrabina Marcello nie dała się zbić z toru; weszła w osobiste stosunki z ubogą ludnością wyspy, odwiedzała chaty, gdzie znajdowały się najsędziwsze staruszki, aż znalazła jedną, przeszło siedmiesięcioletnią, Cencią Scarpanille, która nauczyła się niegdyś roboty koronek od swojej babki i przez zamilowanie pięknego wyrobu robiła je na swój użytek i pamiętała. Ale Cencia, umiając sama, nie miała pojęcia jak uczyć innych i znowu wystąpiła kobieta z poświęceniem obywatelskiem; Anna Bellorio d'Este postanowiła nauczyć się przez przypatrywanie się robocie staruszki, aby następnie uczyć, ale na nieszczęście, nikt nauki tej nie pragnął i ostatecznie trzeba było płacić dziewczętom za to, aby ją pobierać chciały. Początkowo znalazło się ich zaledwie ośm, ale z wolna wpływ przykładu, namowy, a wkońcu potrzeba zarobku sprowadziła więcej i Anna d'Este stanęła na czele rządowej szkoły. Było to w roku 1872; obecnie w miejsce ośmiu przymusowo zebranych uczennic, jest w tej szkole 320 robotnic, płatnych, nie dziennie, ale od sztuki, a wyrób koronek nie ogranicza się wyłącznie do „Punto Burano“, ale wyrabiają się tam zarówno koronki różnego rodzaju, a mianowicie: „Point d'Alençon“, „Point de Bruxelles“, „Point d'Argentan“, „Rose point de Venise“, „Italian Punto in Aria“, „Italian Punto tagliato à fogliami“, wreszcie „Point d'Angleterre“. Szkoła jest podzielona na sześć oddziałów, uczennice więcej inteligentne i okazujące pewną zdolność artystyczną, pobierają lekcy rysunku i z tych dobierają się pracownice, które wywodzą desenie nitką. Jest to zajęcie oddziału pierwszego; przygotowują on robotę dla wydziałów innych i liczy robotnic 15. Oddział drugi ma robotnic 60 i te robotnice wykonywają igłą tło małych kwadracików do koronki „Burano“ i tło do „Point d'Alençon“ i „Point de Bruxelles“. Trzeci oddział, złożony z 25 robotnic, wykonywa tło małych kółek do „Point d'Alençon“ i „Point d'Argentan“. Czwarty oddział, liczący 100 robotnic, wyrabia zwyczajnie gipiury i ścięgi, któremi zapełniają się kwiaty w innych koronkach. Oddział piąty z 80 robotnicami, spaja rozmaite części koronek i wyrabia wypukłości kwiatów (haut relief). Uczennice tego oddziału muszą znać robotę wszystkich innych oddziałów i pracujące w nim robotnice, tak jak robotnice wydziału pierwszego, kształcone są przez szkołę w rysunku. Robotnice szóstego oddziału w liczbie 10, odpruwają koronkę od deseni, czyszczą i przygotowują do zbytu. Oddział siódmy, z rozmaitą liczbą robotnic, daje ją pracującym w domu.

Taki podział szkoły, który jeszcze ma poddziały klas, nietylko ułatwia naukę, ale jest dobroczynnym dla robotnic, bo te nabywszy wprawy w specjalności pewnej, mogą zarabiać więcej, a drugostronnie szkoła, przez uproszczenie ich pracy może taniej zbywać jej owoce.

Największem dobrodziejstwem i podstawą bytu szkoły, przyczyną jej szybkiego wzrostu jest to, że nabywa ona pracę robotnic i sama zatrudnia się

stroną rzeczy handlową. Może to mieć miejsce głównie dlatego, że rząd udziela szkole subsydjów, a wielkie panie, poczuwające się do obywatelskiego i ludzkiego obowiązku wsparcia krajowej pracy kobiet, dają jej swoją opiekę, swoje poparcie, jakiego ze strony możnych wymaga koniecznie i niezbędnie początkujący przemysł przedmiotu zbytowego. Trzeba też i u nas tak patriotycznie, jak Włoszki, jak damy austriackie, odczuwających to pań, aby kielkować zaczynający przemysł koronkarski mógł się rozwinąć pomyślnie.

Szkoła rysunku dla potrzeb koronkarstwa, otwarta w miesiącu Lipcu 1879 r. przy Wiedeńskim Muzeum, wygotowała do miesiąca Lipca b. r. 70 wzorów koronki „Point d'Idria“, 26 koronki „Duchesse“, 16 koronki „Point à l'aiguille“, wreszcie 22,000 wzorów koronki klockowej, tak „torchon“, czyli gospodarskiej, jak walansieny. Wzory te zostały rozesłane do rozmaitych okolic państwa zajętych przemysłem koronkowym, jak: do Gór Kruszcowych, oraz do Idria, Istria, Isola. Wiedeńska szkoła koronek św. Anny wykształciła 76 nauczycielek tak w koronkach „à l'aiguille“, jak w klockowych, które objęły już szkoły w miejscowościach wyżej wspomnianych. Obecnie zajmuje Wiedeńska szkoła 11 koronkarek „à l'aiguille“ a 16 klockowych.

Uniwersytet Rzymski przyznał stopień doktorów w naukach przyrodniczych, dwóm studentkom, które studiowały tam od 1877 r., czyli od chwili otwarcia kobietom wszechnicy rzymskiej. Jedną z nich, Carlotta Magistrelli, rodem z Mantui, wstępując do uniwersytetu, liczyła lat 23; rodzinna jej prowincya zaopatrzyła ją na czas studiów w stypendium, rząd zaś dodał do tego 600 liwrów rocznie, które pobierała od ministerium oświaty, i jej towarzyszką: Ewangelina Bottero rodem z Acqui, liczącą w chwili rozpoczęcia studiów 19 rok. Signorina Bottero poświęcała się w ostatnich dwóch latach szczególnie ichtyologii i studiowała tak morskie jak słodkich wód ryby włoskie.

Miedzy dorocznymi nagrodami cnoty Monthyona, przyznawanymi przez Instytut Francuzki, zaznaczyło się pięć udzielonych kobietom. Marya Gras z Lyonu otrzymała pierwszą z nich za miłosierne zajęcie się opuszczonymi i moralnie zaniedbanymi dziećmi lyońskiego przedmieścia „La Guillotière“. Rénan, który w tym roku przemawiał ze strony Instytutu, dał obszernie i szczegółowo skreślony obraz szlachetnych jej usiłowań, uwieńczonej szczęśliwie pomyślnym skutkiem. Drugą z nagrodzonych była Paula Gagny, także z Lyonu; w nieszczęśliwym roku wojny niemiecko-francuzkiej, odważna patriotka, a młoda jeszcze panna, zebrała dwanaście dzieciątek, sierot pozostałych bez opieki, które wychowywała we własnym, nieobszernym pomieszkaniu w Lyonie, aż z wolna jej przymysłna praca i pewna zapomoga ze strony rządu, pozwoliły jej rozszerzyć jeszcze pole trudu i poświęcenia i wznieść zakład sierot alackich, mogący pomieścić 60 dzieci. Trzecią nagrodę otrzymała Franciszka Laquinte, mulatka, zrodzona, tak jak i jej matka, niewolnicą na Gwadelupie, a która wraz z tą matką po zniesieniu niewoli najpierw służyła u dawnej pani, potem utrzymywała ją z owoców swej pracy, gdy sędziwa już popadła w ubóstwo. Znać i pani owa zasługiwała na nagrodę cnoty Monthyona i w tych chwilach, gdy w ręku jej spoczywała władza nad ludzkością poniżoną, umiała ona stosować w życiu wniosłą zasadę miłości bliźniego i braterstwa wszystkich ludzi.

Inna mulatka z kolonij francuzkich, Paula Yvor, otrzymała nagrodę za wychowanie dwóch dziewczątek białych, sierot po zmarłym jej panie dawnym. Marya Constant, licząca sto dwa lata, nagrodzoną została, trzecią co do ważności swojej nagrodą, za pół wieku służby w jednej rodzinie, i to w początkach niemal darmo, a potem już zupełnie darmo, z czystego przywiązania służąc i pracując po rodzicach u dzieci, a potem u wnuków. Świetna wymowa i gorący styl Rénana skreśliły historię tych cnotliwych poświęceń niewieścich w sposób, budzący silne wzruszenie wśród słuchającej publiczności.

Hubertyna Auclert, stojąca na czele paryzkiego



dziennika dla kobiet: *La Citoyenne*, ofiarowała czytelnikom swoim, jako premium: kieszonkowy rewolwer! „Kobieta ma prawo noszenia broni w społeczeństwie, którego prawa jej nie bronią...” napisała szanowna redaktorka, objaśniając znaczenie tego ciekawego w literaturze premium.

Atenka Gennadios, rzeźbiarka, otrzymała od rządu greckiego obstatunek wykonania w marmurze z Paros popiersia angielskiego męża stanu Caning'a.

Zmarła niedawno w Sztutgardzie żona szlacheckiego poety niemieckiego, Uhland'a, tak umiała ściśle połączyć życie swoje z życiem męża, iż byli oboje niemal nierozdzielni. Od chwili zawarcia ślubu poeta tak miał zawsze, występując publicznie, ukochaną kobietę przy boku swoim, że obecnie pamięć ludzka przypomina ją sobie raz tylko, ukazującą się bez męża. Miało to miejsce w teatrze, na pierwszym przedstawieniu historycznego dramatu Uhland'a: *Księżę Ernest*. On lękał się wzruszenia, jakim mógł uleść i ona sama wystąpiła odważnie, aby drzeć, płakać, przenikać się obawą i rozkoszą, a wreszcie przyjąc spadły i na nią promień sławy.

## WIADOMOŚCI

### Literackie, artystyczne i naukowe.

— W uzupełnieniu wzmianki o s. p. *Jerichau Baumann* w Nr. 31 *Bluszcza* z r. b. otrzymaliśmy od p. M. Rzewskiego z Warszawy kilka szczegółów zaczerpniętych od przyjaciółki nieboszczki, sędziwej dziś pani Teresy Szyslerowej, i te poniżej podajemy: Elżbieta Baumann-Jerichau urodziła się, nie na rogu Nowego Świata i Alei Ujazdowskiej, ale na Żoliborze, gdzie wówczas ojciec jej, ze szwagrem swoim, Gottim, miał fabrykę kart polskich, później dopiero przeniesioną do powyższej miejscowości. Nieboszczka w dzieciństwie miała bardzo żywe usposobienie. W dziesiątym roku zaczęła okazywać zdolność do rysunków, a w trzynastym przy robótkach kobiecych odrazu na kanwie wyszywała własnego pomysłu bukiety i widoki. Pierwszym nauczycielem dziewczęcia był niejaki *Grell*, który udzielał po domach nauki rysunków, a z p. Baumannem w przyjacielskich zostawał stosunkach. Ten *Grell* poprzedził naukę rysunku ogniwą próbą cierpliwości, którą przy żywym temperamencie sztucznie wyrabiać było potrzeba: Elżbieta musiała trzydzieści razy przekopować jedną i tęsamą głowę starca. Z namowy *Grella* rodzice wysłali córkę za granicę. Starszy brat jej rytował na stali, a przebywał wówczas w Düsseldorfie: posłano więc Elżbietę do Düsseldorfu, gdzie się na artystkę wykształciła, jak o tem we wzmiance biograficznej wspomniano.

— Akademia Umiejętności w Krakowie dla uczczenia 300-letniej rocznicy skonu Jana Kochanowskiego postanowiła na r. 1884 wydać zbiór wszystkich poetów piszących w Polsce i o Polsce po łacinie w XV i XVI w. Wydawnictwo to nosić będzie tytuł: *Corpus poetarum latinorum Poloniae, qui Kochanovium aetate antecesserunt* (Zbiór łacińskich poetów Polski, którzy wiekiem (swym) poprzedzili Kochanowskiego) i obejmie utwory poetyczne łacińskie, poczynając od wierszy w *Długosza Annales* zamieszczonych, aż do *Hozjusza*, *Trzycieskiego*, *Schroetera* i współczesnych im a mniej znanych. Granicę ostateczną dla zbioru stanowiąć będzie r. 1580, t. j. data pierwszego ukazania

się *Lyryków* łacińskich *Jana z Czarnolasu*. Do rzeczy już ogłaszanych drukiem przybędzie w zbiorze tym wiele takich, które, albo pierwszy raz dopiero z rękopiśmiennych zabytków się wychyła, alboweż wyjdą ze stanu rozproszenia, w jakim się dotychczas znajdują. Zamierzone wydawnictwo będzie ważniejszem dla ogólnej historii literatury naszej, niż dla pamięci Kochanowskiego, ważniejszem dla dziejów kultury niż piśmiennictwa narodowego; dostarczy ono gotowego zasobu do historii obfitych stosunków, w jakich zostawaliśmy z Zachodem w epoce humanizmu; pozwoli lepiej niż dotychczas scharakteryzować humanistyczny rozwój umysłów, poczęty wraz z *Grzegorzem z Sanoka* i *Sakranem*, a zogniskowany w Krakowie. Teraz dopiero, z tym *Corpusem* w rękę, można będzie prowadzić badania porównawcze dla dokładniejszego oznaczenia stanowiska każdego z większych poetów Złotego Wieku, a na ich czele Kochanowskiego, w historii naszej literatury. Zadanie to ułatwią objaśnienia i wiadomości biograficzne i bibliograficzne, mające znaleźć się w zbiorze. Zamiar chwalebny, urzeczywistnienie jego pożądanę, pożytek z urzeczywistnienia niewątpliwy. Akademia uprasza nie tylko pracujących nad dziejami i piśmiennictwem, ale i samych miłośników historii i literatury ojczystej, o nadsyłanie jej do Krakowa: 1) rękopism i druków, 2) odpisów rękopism i druków w zakres wydawnictwa wchodzących, ze wskazaniem wieku, składu i pochodzenia. Odezwe podpisali: Dr *Estreicher*, dyrektor, i Dr *Wisłocki*, członek wydziału filologicznego.

— Zaraz po pogrzebie X. Franciszka Malinowskiego rękopisma jego miano powierzyć do oceny osobnej kommissji uczonych i stosownie do jej zdania i w granicach środków, na jakieby zdobyć się mogła rodzina, przyjaciele i obie instytucje naukowe, do których należał autor *Krytyczno-porównawczej Gramatyki języka polskiego*, oddać je do druku. Ośm już miesięcy upłynęło od pogrzebu, a zamiar wydawniczy najłżejszego nawet szmeru nie sprawia. Obawiać się można: czy rzecz nie pójdzie w odwłokę, czy znajdą się uczeni dość chętni do podjęcia trudu im przeznaczonego, czy zbiorą się fundusze na wydawnictwo niezbędne? Obawę tę usunąć może tylko rychłe zajęcie się przygotowaniem rękopism do druku i postawienie pierwszego kroku do drukarni. Na początek możnaby się nawet obyć bez uczonych i bez obu instytucji, do których należał zmarły, i na poczet nowego wydania *Gramatyki*, nie pytając już o nieczyje zdanie, czy pozwolenie, wydać wszystko to, co sam nieboszczyk w rękopismach nowego opracowania pozostawił. Wystarczyłoby tylko ogłoszenie prenumeraty, a nie byłoby to żaden hazard: *Gramatyka* Malinowskiego znalazłaby poparcie.

— Nasz Tytan literacki doprowadził już swój jednozbiór powieści historycznych, wydawanych przez spółkę księgarzy warszawskich, do tomu 38-go. W przeszłym tygodniu właśnie wyszedł *Król chłopów, czyli Kaźmirza Wielkiego* w 4-ch tomach. Jestto czternasta powieść z rzędu; poprzedziły ją: *Stara baśń* (3 t.), *Lubonie*, (2), *Bracia Zmartwychwstańcy* (3), *Mastów* (2), *Boleszczyce* (2), *Królewscy synowie* (4), *Historia prawdziwa o Petru Właście* (2), *Stach z Konar* (4), *Waligóra* (3), *Syn Jazdona* (3), *Pogrobek* (2), *Kraków za Łoktka* (2), *Jelita, legenda herbowa z r. 1331* (2). W zamiarze wydawców, zarówno jak autora, leży doprowadzenie zbioru do sześćdziesięciu kilku tomów. Rozmiary materyalne wydawnictwa pozwalałyby dojść do *Stefana Batorego*. Z upragnieniem czekamy obrazu Czasów Jagiellońskich.

— *Henryk Brugsch*, znakomity egiptolog, znalazł d. 2 Lipca r. b. w okolicach Teb w skałach

pod Luxorem, w głębokiej jamie, która umyślnie na kryjówkę przygotowaną była, zbiór najznakomitszy może jaki dotychczas wpadł w ręce uczonych na ziemi Faraonów: 7 mumij królów egipskich, od 17 do 20 dynastji, pomiędzy nimi *Tutmesa I*, *Zetisa I* i *Ramzesa II*, 9 mumij królowych i kilkunastu (13) znakomitości dworskich, kapłanów, ministrów i t. p. Oprócz tych szacownych zabytków znalazł się i posąg *Ramzesa II* (*Sezotrysa* młodszego), w siedzącej postawie. Mnóstwo drobnych przedmiotów wzbogaca to piękne i rzadkie co do obfitości i ważności swej odkrycie. Samych posążków maleńkich *Ozyrysa* jest 3,000; znajdują się manele i naszyjniki, przybory gotowalni kobiecej, ciekawe narzędzia. Znalezione także i rolle papyrusu z pismem hieratycznym. Cały ten skarb przewieziono do Muzeum w Bulagu, gdzie dlań miejsca na razie zbrakło. Odczytanie napisów oraz zbadanie wszystkich ozdób na mumiach wykaże dopiero całą ważność odkrycia, nie tylko archeologiczną, ale i historyczną.

— W Nr. 841 *Kłosa* podały życiorys i podobiznę *Sygurda Wiśniowskiego*, szanownego naszego współpracownika. W wyliczeniu pism, w których *Wiśniowski* prace swoje drukuje, opuszczono *Bluszcza*. Dla dopełnienia wiadomości przytaczamy tu prace zasłużonego podróżnika i pisarza zamieszczone dotychczas w *Bluszczu*: w r. 1878 nowella *Światelka w ciemnym kraju*; w latach następnych zarysy krajoznawcze i obyczajowe: w r. 1879 *Z Nowej Anglii*, *Z Wartem ojca wód*, *Ze wspomnień o Hawanie*; w r. 1880 *Mądre kumoszki Bostonu*; w r. 1881: *Prassa w Ameryce* i *Życie pod Zwrotnikiem* (Kuba).

— Wybór *Poezji Bohdana Zaleskiego* wyszedł w przekładzie czeskim *Rudolfa Pokornego*, kosztem i drukiem *Edwarda Gregra* (Prah 1881, str. 206 i spis, in 16°). Przekład ten stanowi XXI tomik zbioru celniejszych utworów poetycznych literatury obcej p. t.: *Poesie svetova, sbirka basnickych spisw jnojazynnych*. Dwa tomiki tego zbioru, XIV i XX, obejmują przekłady z *Juliusza Słowackiego* przez p. *Otakara Mokry'ego*.

— Dwutomowa powieść p. *Stanisława Grudzińskiego* *Wbrew opinii*, drukowana w pierwszym wydaniu w *Tygodniku Powszechnym*, ukazała się obecnie w wydaniu drugim, książkowem, nakładem *Maurycego Orgelbranda*, drukiem *S. Orgelbranda Synów* (Warszawa, 1882, tom I, str. 242; tom II, str. 310, in 12-mo). Z utworu tego zdamy obszerniej sprawę czytelnikom naszym.

## 1sza SZKOŁA KORONKARSTWA.

### Nauka bezpłatna.

Kurs nauki wyrobu koronek rozpoczął się z d. 1 Października r. b. Zapis odbywa się co Poniedziałki, Wtorki i Czwartki od 12 do 1 z południa. O adressie szkoły dowiedzieć się można w Redakcyi „*Bluszcza*” przy ulicy Nowy-Świat Nr 55.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszcza*” dołącza się półarkusz 2-gi powieści pod tytułem: *Warto się namyśleć*.

Ogłoszenia do *BLUSZCZU* przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy *BERNARDA BERSOHN* w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Ostatni list, (dalszy ciąg), przez A. Ch..... — Podania o śpiących rycerzach, (dalszy ciąg), przez *Bronisława Grabowskiego*. — Szeregowiec, wspomnienie, (dalszy ciąg). — *Korrespondencya zagraniczna*, (Wiedeń). — *Kronika działalności kobiecej*. — *Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe*.

Warszawa.—Druk *S. Orgelbranda Synów*, ulica *Bednarska* Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny *Michał Glücksberg*.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Сентября 1881 года.